

Kronika tygodniowa.

„Nic w naturze nie ginie“, powiedział ongiś jakiś filozof i miał rację. Na jego odpowiedzialność ostatnia majowa kronika njrzała światło dzienne dopiero w czerwcu po skończeniu się strejku pracowników drukarskich, którzy przez tydzień z okładem wstrzymali się od pracy, aby w ten sposób wykołatać poprawę bytu materialnego, co im się, nawiasem mówiąc, zupełnie słuszenie należało. Przed wojną, dzięki sprężystości organizacji, należeli oni do najlepiej wynagradzanych pracowników, zazdrościli im też tego inni, dzięki wojnie znaleźli się na samym końcu, nie też dziwnego, że musieli się upomnieć o swe prawa, nie chcąc przymierać z głodu.

Bezrobocie drukarskie trwało stosunkowo dość długo, bo okrągłe dziesięć dni i tyleż nocy. Przez ten czas radzono zawzięcie, ostatecznie przecież udało się dojść do porozumienia. Każdy z pryncypałów, jako jednostka, zgadzał się w zasadzie na podwyżkę wynagrodzenia, ale, jak się to u nas zwykle dzieje, gdy się zeszli razem, wyłaniały się najrozmaitsze kwestye, choć, nawiasem mówiąc, kieszeń ich na tem nie nacierpi, gdyż różnicę zapłacą klienci. Nic też dziwnego, że wobec tego stann rzeczy, wszystkie nasze wydawnictwa zostały zmuszone do podwyższenia prenumeraty dzięki nowej, a stosunkowo bardzo poważnej rubryce w dziale wydatków.

Przy tej sposobności przekonano się także, jak, w wojennym zwłaszcza czasie, gdy się żyje nerwami, trudno się obejść bez pracy codziennej, choćby ona nawet, tak, jak się to dzieje obecnie, była na każdym kroku krępowana różnymi wyższymi i niższymi względami. Rozchwytywano formalnie pisma niemieckie, nadchodzące do nas w dość skąpej ilości, ale to nie mogło zaspokoić potrzeb ogółu, spragnionego więcej niż kiedykolwiek, wiedzieć co się dzieje w szerokim świecie i na najrozmaitszych odcinkach frontu, zwłaszcza, że niemiecki sztab generalny, nie poinformowany widocznie o strajku krakowskich drukarzy, rozpoczął równocześnie nową ofensywę i zaczął nieco dobierać się do skóry angielsko-francuskiej. Funkcjonowała wprawdzie poczta pantoflowa bardzo sprawnie, trzeba jej to przyznać, sprawniej nawet niż cesarsko królewska, ale i to nie wystarczało. Organizacja poczty pantoflowej jest u nas bardzo racjonalnie przeprowadzona. Każda dzielnica posiada swe „bajczarki dzielnicowe“, stała komunikacyę między dzielnicami pełnią tak zwane „bajczarki łącznikowe“ (są między innymi i drugierne osobniki płci męskiej...), ale to wszystko nie wystarczało, gdyż poczta pantoflowa, choć przynosi wiadomości, jak to mówią „z pierwszej ręki“, nawet i o tem co się jeszcze nie stało i nigdy się nie stanie, zajmuje się sprawami natury lokalnej, mniej uwzględniając ogólną sytuacyę polityczną.

Byliśmy więc przez całe dni dziesięć pod względem politycznym mało uświadomieni, co dawało znów powód do snucia naifantastyczniejszych kombinacji *ex re* tego, co się w świecie dzieje, a o czem my nie wiemy albo nic, albo bardzo mało.

Administracyę naszych pism codziennych molestowano też w dzień i w nocy zapytaniami, kiedy można się spodziewać wydania najbliższego numeru. Odpowiadano, że natychmiast po ukończeniu bezrobocia drukarskiego.

— A kiedy to może nastąpić? — badano dalej ciekawie.

— Gdy się porozumieją strony interesowane.

— Można na to liczyć?

— Naturalnie!

— A jak prędko to może nastąpić?

— W tym kierunku nie możemy służyć żadnymi informacyami — tłumaczyl się funkcjonaryusz lub funkcyonaryuszka tej lub owej administracyi dziennika. — Wyjaśnienie może udzielić jedynie gremium drukarskie.

— A który numer telefonu?

— Proszę poszukać w spisie!...

Telefonowano i tam, ale nie można się było dowiedzieć, gdyż albo toczyły się narady, których prze rywac nie chciano, albo też nie było już nikogo na miejscu. Trudno chyba wymagać, aby, nawet w wojennym czasie, przez całe dni dziesięć i tyleż nocy radzono tylko, zapominając o innych czynnościach, niezbędnych do utrzymania cielesnej powłoki w stanie, choćby tylko podobnym do przedwojennego.

I kronikarza niepokojono też pytaniami tej treści, nie mógł przecież dać na nie żadnej konkretnej odpowiedzi, jako iż nie był bynajmniej wtajemniczony w przebieg narad i stadyum, w jakim się znajdują. Wiedział tyle, co każdy inny śmiertelnik, że strejk trwa i że się kiedyś skończyć musi, ale kiedy, to się dopiero w dalszym ciągu pokaże.

Pewna znajoma jejmość, którą spotkałem na Rynku, wracając z targu z ogromnym koszem prowiantów, złożonych z przedstawicieli i przedstawicielek naszej galicyjskiej fauny i flory, ujrawszy mnie, przekonana widocznie, że kronikarz musi wszystko wiedzieć, zaraz na wstępie postawiła mi pytanie, które wprawiło mnie w ambaras:

— Panie kochany!... A kiedy wyjdą gazety?

— Nie mogę dać stanowszej odpowiedzi — ja jej na to — gdyż nie jestem pod tym względem należycie poinformowany, w każdym razie ciesz się, iż pani dobrodziejka odczuwa ten brak...

— O tak!... Bez gazet jest człowiek, jak to mówią, jak bez ręki... Wczoraj naprzykład, chciałam, proszę pana, zanieść trzewiki najstarszej córki do podzelowania i nie było ich w co zawinąć... Brak mi ich o każdej porze i na każdym kroku!...

— Państwo łaskawi zapewne prenumerują kilka pism? — badałem dalej.

— E!... Co to, to znowu nie!... Ktoby tam wydawał pieniądze na takie głupstwa, gdy czasy coraz cięższe!... Pożyczamy od sąsiadki, a nie każdy numer się oddaje, bo przecież w domu zawsze się zda kawałek papieru... Dawniej mój stary, wracając z biura, kupował czasem *Kurjerka*, ale się o to zawsze gniewałam, bo, powiedz pan sam, czy nie szkoda pieniędzy, skoro można pożyczyć?...

Westchnąłem głęboko i pomyślałem sobie, że ładnie musi wyglądać nasza prasa, jeśli większość naszego społeczeństwa przejęta jest temi samymi zasadami, co owa jejmość, moja interlokutorka.

Koniec końców strejk się skończył, gazety wychodzą, sąsiadka je zapewne kupuje i pożyczka dalej, gospodarnej niewieście nie braknie więc papieru do zawijania i innych praktycznych celów, nie będzie więc mieć powodu do narzekania, być może nawet i słusznych.

Bezrobocie dziesięciodniowe, w którym pośrednio wzięli udział i dziennikarze, było przecież bardzo przyjemnym okresem czasu, stanowiło bowiem zupełnie niespodziewany okres wypoczynku. Pióra i nożyce zawieszono na kołku, atrament przez dni dziesięć schnął w kałamarzu. Kronikarz, idąc za przykładem innej braci dziennikarskiej, próżnował także, nie mogąc, jako nie właściciel drukarni i nie zawodowy drukarz, lnb choćby mąż zaufania, brać udziału w obradach. A ów przymusowy wypoczynek tak mu zasmakował, iż nie miałby nic przeciw temu, gdyby coś podobnego przytrafiło się bodaj raz na kwartał, jeśli nie częściej. Na strejk drukarski nie można już liczyć, skoro doszło do porozumienia, natomiast możnaby pomyśleć o innym, dajmy na to o bezrobociu...kronikarszy. W tem tylko sęk i to sęk paskudny, iż jedynie *Nowości ilustrowane* przynoszą stale kronikę tygodniową i mają tylko jednego kronikarza, który, gdyby chciał strejkować, nie miałby z kim radzić, jakie ma stawiać warunki poprawy bytu. Mógłby, co najwyżej rozmawiać sam ze sobą, ale wówczas łatwo zdarzyłoby się mogło, iż wziętoby go za waryata i odesłano do szubów, a o takiej poprawie bytu nie myśli, ani jej też nie pożąda.

Zupełnie co innego, gdyby tak zastrejkowali wszyscy dziennikarze, ale do tego nie myślę ich namawiać, by nie pozbawiać tak siebie, jak i ogółu codziennych wiadomości z szerokiego świata, bez których, jak się obecnie okazało, tak nam się obejść trudno.

Ale może przecież, dzięki właśnie wojnie, wrócimy do tych pierwotnych zwyczajów, z którymi tak było dobrze naszym pra pra pradziadkom i takimiż babkom. Wówczas, gdy gazet nie znano, miejsce ich zastępowała poczta pantoflowa, dziś stanowiąca tylko ich uzupełnienie. Wrócimy jednak do tych dawnych zwyczajów, łatwo bowiem przewidywać nam się obejść bez drukowanych nowinek, zwłaszcza, jeśli ogół posłucha wezwania magi-tratu i zastosuje się do jego żądania, by, ze względu na oszczędzanie opału, wszystkie rodziny, jeden dom zamieszkujące, gotowały obiady przy jednym ognisku. Gdy się przy niem zejda przedstawicielki tyłu rodzin, wymiana myśli będzie ułatwiona, zastąpi więc gazetę ta garść informacji, jakie się tu zbierze.

Projekt ten, prócz swej strony dobrej, ma jednak i złą. Znaną jest gadatliwość rodzaju żeńskiego, którego język przyrównał nawet ktoś do *perpetuum mobile*, pytanie więc, czy można liczyć na to, że obiad będzie gotowy bodaj na wieczór, jeśli panie, choćby tylko trzy, zejda się razem, a każda będzie chciała coś powiedzieć?... Zanim się wygadają, tymczasem ognisko wygaśnie, więc o oszczędności niema ani mowy. W normalnych warunkach, gdy niewiasty są od siebie pooddzielane grubymi murami i zamkami wertheimowskimi, ileż to w każdym domu bajek, intryg, komeraży, cóż będzie dopiero wówczas, gdy jedna drugiej będzie mogła bezkarnie zaglądać do garnka?... Dom wówczas zamieni się w istne piekło, a tym potępieniem, który ma tam odbyć swą mękę, będzie

biedny małżonek, przychodzący pod dach rodziny rze-komo po to, by sobie wypocząć i by się posilić.

Jakże ma wypocząć, gdy najpierw mnsi wysłuchać cierpliwie, jak dziś wygląda Xowa, co mówiła, co Ypsilonowie gotują na obiad, a Zetowie na kolację: Broń zaś Boże, by się jedna pani popatrzyła krzywo na drugą, lnb nie ustąpiła jej pierwszeństwa przy owem wspólnem ognisku. Pierwsza to oddechraje i każe mężowi, by małżonka drugiej wyzwał na pojedynek i zastrzelił. W przeciwnym razie to ona mu oczy wydrapie, lub twarz obleje kwasem siarkowym...

O spoczynku niema więc mowy, o posileniu się też, gdyż na gotowanie, wobec bardzo aktualnych kwestyi, jakie tam omawiano, nie było czasu.

— Zresztą, czy ja chcę — powie ci żona — by miał sąsiadki obnosić po mieście, co ja gotuję?... Wara im zaglądać do mojego garnka!...

Jednem więc słowem, projekt ów wspólnego warzenia obiadów przy ogólnem ognisku nie ma racyi bytu i nie może być brany w rachubę, jeśli nie chcemy, mając już wojnę światową, ściągnąć sobie na kark jeszcze gorszej, bo domowej, której sami musimy paść ofiarą. Antor pomysłu albo nie zna kobiet, albo też tak mn się już dały we znaki, iż chciałby, by tego piwa, które sam wypił i inni skosztowali, Ja, o ile mnie to dotyczy, nie przestanę powtarzać wszem wobec i każdemu z osobna:

— Od powietrza, głodu, ognia i wojny i wspólnych ognisk kuchennych zachowaj nas Panie!...

Tak więc źle, tak jeszcze gorzej, niechaj więc nie wracają stare zwyczaje. Czerpmy wiadomości z pism drukowanych, a nie oglądajmy się na ową pocztę pantoflową, traktując ją jedynie, jak się już wyżej rzekło, jako ich uzupełnienie, o ile się rozchodzi o sprawy lokalne. Ergo, niech dziennikarze nie strajkuja, jeśli by zaś już konieczne chcieli, niech sobie to zostawia na czas powojenny, gdy nikomu się nie będzie śnić o jakichś tam komunikatach, donoszących o sukcesach na tym lub owym froncie.

Pracą i pilnością, zaparciem się i przestawianiem na małym przyswiewcajmy ogółowi, tak jak mu już świecimy wytartymi inekspresablami i dziurami na lokciach, mówiącami same za siebie.

Wszystko ma swój koniec, mieć go musi więc i dziennikarska mizerya (a ogórki takie teraz drogie!... przyp. zecera). jeszcze i dla pracowników pióra nastaną lepsze czasy i kto wie, czy nie weidzie jeszcze kiedy w modę wyrażenie „szczęśliwy, jak dziennikarz“, mogące się z czasem stać tak popularnem, jak dotychczasowe określenie „bryndza dziennikarska“.

Szkoda jednak robić sobie apetyt tak na mizeryę, jak na bryndzę. Tę ostatnią chwalaono dawniej, o ile była „majową“, obecnie mamy już czerwiec i to dobiegający już prawie do połowy, a o bryndzy nie słyhać.

Jest, ale niestety, tylko dziennikarsko-literacka, a na jej zarekwirowanie nie wymyślono dotąd żadnej centrali, by raz już w łeb wzięła! Może to jednak kiedy nastąpi, jeszcze za naszych czasów... Daj to Boże!...

Niema się zresztą i czemu dziwić, że dziś każdy myśli tylko o tem, co się popularnie nazywa „poprawą bytu materialnego“. Nastają takie czasy, o jakich nam się dotąd ani nie śniło, a dziadowie i ojcowie nasi, gdyby przypadkiem hukiem armat lub eksplozyi zbudzeni zostali ze snu wiecznego, widząc, co się dzieje na świecie, powróciliby stanowczo co prędzej na cmentarz, nie mogąc się przyzwyczaić do obecnych warunków bytowania.

A my musimy to wszystko znosić, im zaś możemy tylko zazdrościć. I stanie się, co powiedział prorok, iż „żywi będą zazdrościć umarłym“.

O poprawę bytu, jak mnie zapewniał pewien restauracyjny *piccolo*, darzący mnie stale swymi względami, upominają się także i kelnerzy restauracyjni i kawiarniani, choć mojem zdaniem, są to ludzie bardzo dobrze sytnowani. Być może, że nie wszyscy, ale w każdym razie większość. Taki sobie „pan płatniczy“ nie pomieniałby się z pewnością na dochody z ministrem, nawet takim „z teką“...

Kelnerzy żądają zamiast dotychczasowych „napiwków“, przymusowego opodatkowania gościa, a to dziesięcioprocentowym dodatkiem w restauracyach, piętnastoprocentowym zaś od płaconego rachunku w kawiarniach. Uzyskana w ten sposób kwota szłaby do podziału między służbę, według pewnego klucza. Jaki on ma być, wertheimowski czy zwykły, tego nie wiem, gdyż nie mógł mnie o tem poinformować ów *piccolo*. Bierze on wprawdzie udział bardzo pilny w obradach, ale detąd głosu nie zabierał, lecz tylko z tego powodu, iż nikt go nie pytał o zdanie. Słucha natomiast uważnie, do czego usposabiają go dźwięki uszy, jakimi go ozdobiła matka natura, odmawiając mu natomiast innych wdzięków.